

PODRĘCZNIK
PRZYGODY
ROWEROWEJ

Anna i Robert „Robb” Maciąg
oraz przyjaciele



Bezdroża

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Michał Mrowiec

Projekt okładki: Natalia Oprowska

Skład: Adrian Partyka

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: helion@helion.pl

WWW: <http://bezdroza.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

ISBN: 978-83-246-3635-8

Copyright © Helion 2012

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Spis treści

Magia roweru · 7

Opowieści z drogi · 9

Sama przez Tybet · 11

RuBuTu — przez RUmunię BUłgarię i TURcję · 22

Opowieści z podróży po Madagaskarze,

czyli kilka listów do przyjaciół sklejonych w całość · 39

Mongolia — kraina błękitnego nieba · 51

W podróż poślubną do Maroka · 61

Sudan — opowieść z przygodami · 74

Pamir — koniec świata · 84

Islandia — na krawędź Europy · 94

Wzdłuż Odry pod górę, żeby nie było łatwo · 106

Trasy · 119

Ja też chcę w świat... tylko dokąd? · 121

Jedziemy w daleki świat! · 125

Transdanubia, czyli rowerem wzdłuż Dunaju · 125

Ukraina — rowerem do sąsiadów · 133

Bałkany — otwarte drzwi i serca byłej Jugosławii · 137

W krainie północnego słońca, czyli kultowa podróż

na północny kraniec Europy — Nordkapp · 144

Turcja — gdzie stacja benzynowa jest oazą · 149

Gruzja — nie tylko Kaukaz · 154

Kanada pachnąca przestrzenią · 159

Wietnam — widoki jak z pocztówek · 165

Karakorum Highway — droga do nieba · 172

Sprzęt · 175

- Rower mój to jest to... Kocham go! · 177
- Rowerowe kempingowanie · 212

Zanim wyruszysz · 225

- Sześć najważniejszych pytań · 227
- Dobry plan nie jest zły · 228
- Samotnie czy w tłoku? · 231
- Panie pilocie — rower w samolocie · 246
- Pociąg · 249
- A ile to kosztuje? · 251

W drodze · 255

- Gdzie ja dzisiaj będę spać? · 257
- Częste mycie wydłuża życie · 262
- Gdzie tu jest jakaś restauracja? · 265
- Nie ma wody na pustyni · 272
- Pokaz mody · 276
- W poszukiwaniu pralki · 281
- Czy tu mieszkają ludożercy? · 283
- Być kobietą, być kobietą · 290

Wyzwania · 293

- Psy · 295
- Zaproszenie do domu · 297
- Zmęczenie i nuda · 299
- Kontuzje · 300

Zanim wyruszysz

Sześć najważniejszych pytań

Zanim cokolwiek kupisz.

Zanim cokolwiek zaplanujesz.

Zanim cokolwiek zadecydujesz.

Odpowiedz sobie na kilka podstawowych pytań:

1. Dokąd chcesz pojechać? (Jaka jest tam pogoda, jaka sytuacja polityczna, jakie drogi, jak wygląda dostęp do służb medycznych, czy łatwo stamtąd wrócić itp)
2. Po co? (Chcesz przejechać dane miejsce jak najszybciej czy jak najwolniej?)
3. Z kim? (Samemu, we dwoje czy może w grupie?)
4. Na jak długo?
5. Kiedy (pora roku itp.)?
6. Ile masz pieniędzy?

Dodatkowo, gdy już zaczniesz kompletować sprzęt, zastanów się, czy umiesz go naprawić lub czy jego naprawa będzie droga/trudna/możliwa w trasie.

Dobry plan nie jest zły

Jest takie rowerowe powiedzenie: nie jedź myślami szybciej niż rowerem. Często, o czym wspominaliśmy w tej książce, dobry plan może być wrogiem przygody. Wszystko trzeba dobrze wypośrodkować w zależności od własnych potrzeb, marzeń i celów.

Planowanie oczywiście zależy od charakteru podróży. Co innego, gdy ma się dużo czasu, a co innego, gdy wyjeżdża się na szybkie wakacje i żal nam każdego dnia. Co innego, gdy komuś zależy na zwykłej rowerowej wędrownicy, a co innego, gdy ktoś chce na przykład zaliczyć jak najwięcej alpejskich przełęczy.

Nasza złota zasada jest bardzo prosta: im krótsza podróż/wycieczka, tym więcej planowania i odwrotnie. Mając dużo czasu, dysponujesz nim aż pod dostatkiem na wszelkie poprawki, objazdy, nagłe odkrycia miejsc wartych odwiedzenia. Masz więcej luzu i więcej wolności. Nigdzie się nie śpieszysz, bo nie musisz.

W naszej podróży do Indii czy Jedwabnym Szlakiem mieliśmy jedynie zaznaczone kilka ważnych miejsc, które „musieliśmy” odwiedzić. Wszystko inne zmieniało się wraz z czasem, naszą ochotą i... radami ludzi, których akurat spotkaliśmy po drodze. Połowa miejsc odwiedzonych w Indiach właśnie w ten sposób znalazła się na naszej mapie — to Hindusi nam o nich powiedzieli.

Kiedy wybieracie się na dwu-, trzytygodniowy urlop, kwestia planowania wygląda trochę inaczej. Wiadomo — ma się jakieś terminy i trzeba się w nich zmieścić. To, czy trzeba zobaczyć wszystkie zamki nad Loarą, czy też nie, jest już sprawą osobistego podejścia, ale gdy już jednak „trzeba”, to i należy wszystko dobrze zaplanować. Noclegi, kilometry i całą resztę.

Bez względu na długość podróży istnieją rzeczy, o które zawsze należy zadbać.

Lekarz

Zanim wyjedziesz, odwiedź dentystę (!) i lekarza ogólnego. Miej pewność, że żaden ząb nie zaskoczy Cię w trakcie zwiedzania Stambułu czy podjazdów w Alpach.

Wizy

Sprawdź jeszcze, zanim wyrobisz wizy, jak długo są ważne i od którego momentu. Niektóre są ważne od momentu wjazdu do kraju. Inne od dnia ich wystawienia.

Ubezpieczenie

Dowiedz się dokładnie, czy wykupione ubezpieczenie obejmuje podróż rowerową i w jakich krajach. Dowiedz się, co zapewnia Ci to ubezpieczenie w sytuacji na przykład wypadku. Sprawdź, czy ubezpieczenie ma ograniczenia co do maksymalnej wysokości nad poziomem morza, do jakiej obowiązuje. Większość zwykłych ubezpieczeń traktuje przebywanie powyżej 3000 m n.p.m. jako uprawianie sportów ekstremalnych i często uwzględnienie takich opcji kosztuje dodatkowe pieniądze. W takiej sytuacji nawet spacer po La Paz, stolicy Boliwii (miasto leży powyżej 3600 m n.p.m.), to „wspinaczka” i nawet skręcenie tam kostki może nie być objęte ubezpieczeniem.

Pieniądze

Wozenie gotówki jest czasem koniecznością. W niektórych krajach (np. Iran) nie można korzystać z zachodnich kart płatniczych ani bankomatowych. Liczy się tylko gotówka. Podobnie jest w krajach leżących „z dala od zachodniej cywilizacji”.

Karta płatnicza wydaje się bardzo dobrym rozwiązaniem w krajach, w których sieć bankomatów jest dobrze rozwinięta. Mimo to zawsze sprawdź, ile będzie Cię kosztowało wybranie pieniędzy z bankomatu i jakie masz dzienne limity. Sprawdź, czy w kraju, do którego jedziesz, łatwiej jest korzystać z kart Visa czy Mastercard.

Jeżeli wozisz ze sobą gotówkę, pomyśl, gdzie ją dobrze schować. Nigdy nie wozź wszystkiego w jednym miejscu. Poukrywaj pieniądze w kilku miejscach i nie ufaj za bardzo wszelkim pasom biodrowym noszonym pod spodniami. W wielu turystycznych krajach (np. Tajlandia i Indie) wszyscy doskonale wiedzą, że turyści właśnie w takich pasach chowają pieniądze.

Czasem warto ukryć pieniądze w samym rowerze. Wjeżdżając do Uzbekistanu, musieliśmy zadeklarować ilość wwożonych pieniędzy i wykazać wszystkie kwity z banków o ich wymianie. Jechaliśmy przy okazji do Tadżykistanu i w Uzbekistanie musieliśmy „zaopatrzyć się” w dolary. Wszystkie „nadliczbowe” schowaliśmy w kierownicy. Wystarczyło zdjęć chwytły, upchać banknoty zabezpieczone plastikowym woreczkiem i z powrotem zatkać kierownicę. Na szczęście nikt nie sprawdzał dokładnie rowerów, a i o sumę wywożonych dolarów też się nikt nie pytał.

Rodzina

Przygotujcie ich na to, że wyjeżdżacie. Pamiętajcie, że będą się o Was martwić. Opowiedzcie im, dokąd jedziecie, pokażcie zdjęcia i trasę. Możecie nawet zrobić im mapkę – niech wiedzą, gdzie jesteście. Niech to „zobaczą”.

Dobrym rozwiązaniem jest SPOT Satellite GPS Messenger. SPOT to niewielkie urządzenie, dzięki któremu (i dzięki technologii GPS) można wysłać wiadomość z każdego zakątka ziemi. Wezwać pomoc lub upewnić rodzinę i przyjaciół, że jesteście cali i zdrowi. Możemy im wysłać nasze dokładne położenie GPS, a nawet link do Google Maps, by mogli dokładnie zobaczyć, skąd wysłaliśmy wiadomość. Urządzenie działa na baterie i pozwala wysłać do 700 wiadomości bez potrzeby wymieniania zasilania.

Samotnie czy w tłoku?

Mało co zmienia charakter podróży tak bardzo, jak liczba uczestników wyprawy.

Zupełnie, ale to zupełnie inaczej jedzie się samemu, a inaczej w większej grupie. Ludzie na trasie inaczej traktują samotnego rowerzystę lub samotną rowerzystkę, a inaczej na przykład... szóstkę podróżujących.

Samotnie?

Jeżeli macie ochotę na podróż „tylko dla siebie”, to najlepiej wybrać się samemu. Po pierwsze: z nikim nie trzeba niczego ustalać, o nic pytać i niczego dogadywać. Można wtedy łatwo bić wszelkie rekordy, często i łatwo zmieniać trasę lub po prostu można nic nie robić bez potrzeby pytania innych o zdanie. Po drugie: łatwiej spotkać pomocnych ludzi. Łatwiej o zaproszenie do domu lub choćby na herbatę. Samotny rowerzysta często wzbudza „litość”.

Jedynym minusem samotnego podróżowania są sytuacje, w których macie poważne problemy. Wtedy też musicie przez wszystko przejść sami i nie ma kogo zapytać o radę czy o pomoc. Gdy się już jednak pokona te wszelkie trudy i przeciwności, rośnie się w siłę jeszcze bardziej.

Samemu — bo czasem nie ma z kim.

Dlaczego by nie pojechać samemu?

Oczywiście że za pierwszym razem niemal każdy się trochę boi, ale tak naprawdę nie ma czego. Podróż rowerowa jest bardzo prosta. Wystarczy wsiąść na rower, zacząć pedałować i... już. Właśnie się zaczęło, a kiedy i jak się skończy, to się dopiero okaże. Nie warto wybiegać za daleko naprzód. Nie warto być myślami dalej niż rowerem.

Rower powinien być szybszy od nas i od naszych myśli, a nie odwrotnie.



Na mapie ta droga była duża i szeroka.
Teraz samemu trzeba sobie z tym radzić

We dwoje

Podróż we dwoje może być największą przygodą życia, ale może być też... końcem niejednego związku. Non stop we dwoje, zmęczenie, w obcym kraju. Podróż we dwoje może i często bywa próbą. Nagle, bez ostrzeżenia spędza się ze sobą kilka tygodni w obcym kraju.

To jest oczywiście czarny scenariusz, bo szczęśliwych, radosnych par rowerowych jest mimo wszystko o wiele więcej niż tych zmęczonych sobą. Podróż razem może być — tak jak pisaliśmy wcześniej — czymś wspianiałym i utrwalającym związek. Niejedna para zdecydowała się na rowerową podróż poślubną, a niektórzy, na przykład my, w trakcie rowerowej podróży postanowili się pobrać.

Gdy się jest we dwoje, można zawsze na kogoś liczyć, można przeżywać wspólnie wspaniałe zachody słońca i razem przeczekiwać gwałtowne burze w ukryciu w namiocie. Na szczęście jazda na dwóch rowerach pozwala jechać razem, ale niekoniecznie obok siebie i zawsze można zrobić sobie przerwę od siebie.

W krajach, które odwiedziliśmy, to Ania była łącznikiem między nami a lokalnymi rodzinami. W Iranie, Syrii czy Pakistanie to kobiety zagadywały Anię i zapraszały nas do domu. Gdybym jechał sam, pewnie nie udałoby mi się aż tak głęboko wejść do ich domów. Obcemu mężczyźnie często nie wolno tego robić, więc Ania była naszym ambasadorem. To Ania przynosiła historie zza drzwi, których mnie nie wolno było przekroczyć.

Tandemem (po kraju kiwi)

Agnieszka i Jacek Stanisławscy
www.dookolaswiata.org

„Kończymy z jazdą autobusami. Mam już dosyć po Ameryce Południowej. Coś trzeba zmienić... Może rower??”

„Chyba żartujesz?! Od pół roku jesteśmy w podróży, a ja nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz siedziałam na rowerze. Wiesz, że szlag mnie trafi, będziesz mnie zostawiać w tyle!”

(po krótkiej chwili)

„No dobrze. Rower może być, ale nie dwa osobne” — zgadzam się na tandem :).

„Ale ja nigdy nie jeździłem na takim!”

„Ja tylko raz. W czasie Dnia Chłopaka w liceum :). Było super”.

„Hmm... Dojedziemy do Rotorua i zobaczymy, czy są tam jakieś sklepy rowerowe”.

Tak zaczęła się nasza wspólna rowerowa przygoda po Nowej Zelandii. Dojechaliśmy autobusem do Rotorua na Wyspie Północnej i, jak się okazało, trafiliśmy do mekki rowerowej. Na każdym kroku były wystawione rowery na sprzedaż, nowe, używane, do wypożyczenia — wszystko, czego zapragniesz.

Zaczelśmy od poszukiwań tandemu i zbyt wiele się nie nachodziliśmy — już pierwszego dnia znaleźliśmy Złotą Strzałę Raleigha. Po okazyjnej cenie, ponieważ została zwrócona do sklepu po tym, gdy się komuś nie spodobał prezent urodzinowy (sic!). Takiej szansy nie mogliśmy przegapić i wystarczył jeden wieczór na podjęcie decyzji, by po dwóch dniach przemierzyć na tandemie pierwsze kilometry.

Nie wiedzieliśmy, na co powinniśmy zwrócić uwagę podczas wyboru tandemu, ponieważ sam pomysł mocno nas zaskoczył, a poza tym nigdy wcześniej nie jeździliśmy na wielodniowe wycieczki rowerowe. Raczej mieliśmy je w planach, ale jak wiadomo, czasem od planu do realizacji prowadzi długa droga.

Co zastaliśmy w naszym rowerze? Tak naprawdę nie za wiele. Na początku myśleliśmy, że ma wszystko, co jest potrzebne, ale już po pierwszych dniach doszliśmy do wniosku, że „czegoś” mu brakuje. Przede wszystkim nie zdawaliśmy sobie sprawy, że będziemy aż tak ciężcy razem z bagażami. Mimo że większość rzeczy zostawiliśmy w hostelu, dzięki czemu mogliśmy się spakować do czterech sakw i jednego wodoodpornego worka, i tak byliśmy zbyt dużym obciążeniem dla naszej Strzały.

Pierwsze dni jazdy były mieszanką radości i zgrzytów. Skoro jechałam z tyłu, wychodziłam z założenia, że czasem mogę delikatnie zdjąć nogi z pedałów i dać Jackowi w całości spożytkować energię na podjazdy na wzgórze, których zdecydowanie Nowej Zelandii nie brakuje. Niestety, jeśli ktokolwiek chciałby robić to samo co ja, od razu mówię — nie ma szans. Wystarczyło, że trochę podniosłam nogę, a już słyszałam: „Ale, ty! pedałujemy!”. To jest jedna rzecz, którą odradzam. Jednak żeby nie pozostawiać Was bez słowa otuchy i propozycji rozwiązań na podjazdach, przekazuję: im gorzej śpiewasz, tym szybciej wsiadaj na tandem! Ja tak zrobiłam i to naprawdę skutkuje! Siedzisz z tyłu, przed Tobą góra, której końca nie widać, plecy, które zasłaniają cel, do którego dążysz, licznik wskazuje coraz mniejszą prędkość... Jedyne, co możesz zrobić, to sprowokować partnera, by nadał szybsze tempo :). Zaczynasz śpiewać najróżniejsze polskie przeboje i po chwili sam poczujesz efekt — będziecie szybciej jechać! Jeśli zaczniesz się zastanawiać, czy osoba z przodu chce od Ciebie uciec, to odpowiedź jest prosta: tak, właśnie tak jest. Jednak skutki są tak wyraźnie widoczne, że polecam wszystkim to dodatkowe doładowanie.

Na tandemie przygodom nie ma końca. Jedzie się we dwoje, co niektórych może drażnić, bo nie ma chwili wytchnienia, ale trzeba pamiętać, że ten pierwszy jest zawsze plecami do Ciebie, co możemy uznać za małe pocieszenie. Problemy mogą się pojawić w doborze roweru. Tandem sprawdza się najlepiej na asfalcie i innych twardych podłożach, więc jeśli nieodpowiednio przewidzimy teren, po którym będziemy jeździć, a dodatkowo najważniejsze elementy roweru nie będą dostatecznie wytrzymałe, mogą się pojawić takie sytuacje, jakie nas spotkały.

Kiedy już w śpiewającym (piejącym) tempie wjechaliśmy na któreś z kolei wzgórze, zobaczyliśmy, że zrobiła się nam ósemka w tylnym kole. Nie były to pojedyncze przypadki, więc doszliśmy do wniosku, że najprawdopodobniej to wina zbyt dużego obciążenia i ewentualnie nierównego zapakowania sakw. Wymiana dętek czy naprawa kół w tandemie niczym nie różni się od robienia tego w zwykłym rowerze. Za to innym elementem wyposażenia, na który trzeba zwrócić uwagę, są hamulce.

Ważący ponad 220 kg rower z pasażerami pędzący z górki to, jakkolwiek patrzeć, minitorpeda, która w którymś momencie powinna się zatrzymać. Standardowe hamulce w tym absolutnie nie pomagają. W naszym tandemie mieliśmy hamulce typu V-breake (z klockami niezbyt wysokiej jakości), ale kupując rower, nawet nie pomyśleliśmy o tym, że felgi będą się nagrzewać do takiego stopnia, że będą nam pękać dętki. A jednak! Cała radość ze zjazdu musiała być przerywana co jakiś czas na postój, by ostudzić nasze dwa kółka. Odczekawszy chwilę, ruszaliśmy dalej.

Opisałam najważniejsze z mojego punktu widzenia kwestie związane z jazdą na tandemie. Nie ma tego dużo, bo moim zdaniem taka jazda nie różni się w sposób znaczący od jazdy w pojedynkę. Tak samo może się przebić dętka, zetrzeć hamulec, wygiąć koło, zepsuć piasta itp., itd. Najważniejsza jest jednak radość ze wspólnej jazdy.

Na tandemie przejechaliśmy wspólnie kilkaset kilometrów. Były kilkudziesięciokilometrowe podjazdy, takiej samej długości odcinki płaskie i na koniec zjazdu. Wszystkie pokonaliśmy wspólnie, raz w lepszych, raz w gorszych humorach. Przez większość czasu cieszyliśmy się, że możemy swobodnie rozmawiać, nie krzycząc do siebie z odległości kilku metrów. Oczywiście, były momenty kryzysowe, bo aż sama sobie się dziwię, ile można widzieć w tylnym kole: ósemka, rozszywająca się opona, pęknięta dętka, a kończąc na zwieńczeniu wszystkiego, czyli ramie, która wiła się, tworząc płynne esy-floresy. Jednak przygoda z tandemem w roli głównej dała nam obojgu niesamowitą frajdę i niezapomniane wrażenia!

Z mojej (tylnej) perspektywy: jeśli miałabym ponownie wybierać tandem czy dwa osobne rowery, odpowiedź jest tylko jedna — TANDEM!



Przygoda z tandemem w roli głównej

We troje

Trzech kolegów czy też trzy koleżanki to zupełnie inna podróż niż jazda typu para i jeden/jedna. Ten ostatni wariant to nie jest najlepszy pomysł. Można próbować oszukiwać się, że w takiej grupie i tak wszyscy są równi, a życie i tak pokaże, że para jest mimo wszystko silniejsza. Przeczytajcie jeszcze raz akapit o problemach, jakie para może mieć w podróży, i wyobraźcie sobie, że jesteście „tym trzecim”. Na pewno chcecie tego próbować?

Raz podróżowaliśmy z naszym bardzo dobrym kolegą. Po kilku tygodniach stwierdził, że kiedy patrzył na nas jako parę, bardziej do niego docierało, że jedzie sam. Okazało się, że pomimo naszych starań „czuł się bardziej samotny, niż gdyby jechał zupełnie sam”.

W większej grupie

W większej grupie niemal zawsze chodzi o grupę jako taką. Wszyscy się mniej lub bardziej znają, jadą razem na rowerach, a mimo różnic w stylu i jazdy, i celu wciąż dobrze się bawią.

Ceną za to są dłuższe postoje, dłuższe szukanie noclegów, dłuższe rozmowy o tym, co chce się robić następnego dnia. Wiadomo — im więcej ludzi, tym więcej opinii. Jedynym rozwiązaniem jest wybór „kierownika ekspedycji” i zrzucenie na niego lub na nią ciężaru podejmowania decyzji oraz... ciężaru niezadowolenia innych.



W grupie zawsze ktoś pocieszy

Problemy logistyczne dużej grupy

Czesław i Gosia

www.na-azymut.pl

Wiele razy słyszeliśmy, że nasza grupa jest wyjątkowa pod względem stabilności tak licznego składu w czasie różnych rowerowych podróży i stopnia wewnętrznej integracji. Wyjaśnijmy zatem, na czym polega ten fenomen. Nie chodzi tylko o to, że znamy się od dawna i jeździmy razem na wyprawy, ale na tych wyprawach zawsze działamy kolektywnie. Wozimy ze sobą wielki namiot „imprezowy”, w którym, w zależności od potrzeb, może się zmieścić oprócz sześciu osób jeszcze sześć rowerów albo przestronna kuchnia z jadalnią, gdzie wygodnie można posiedzieć przy ursusie i popatrzeć, jak paruje gotujący się w wielkim garze makaron. Wielki gar to kolejny nieodłączny element naszych podróży — wożony zwykle na sakwach któregoś z nas, wystający spomiędzy suszącego się prania, upodabnia naszą grupę do cygańskiego taboru. Dzięki wspólnemu gotowaniu wystarczy nam wozić dwie Kuchenki, a zapasowe puszkami z gazem rozdzielamy pomiędzy członków ekipy. Właśnie odpowiedni podział bagaży pozwala nam oprócz 8-kilogramowego namiotu i gara zabierać inne rzeczy, bardziej lub mniej praktyczne, ale bez których wyprawa nie miałaby takiego kolorytu — takie jak zeszyt i zestaw kredek Ani. Wspólnie też gospodarujemy pieniędzmi. Niezastąpiony skarbnik Tomstein trzyma w osobnym portfelu „wspólną kasę”, na którą regularnie się składamy i którą przeznaczamy na zakup jedzenia, co znacznie ułatwia rozliczanie się, zwłaszcza kiedy podczas podróży używamy kilku walut. Oczywiście kolektywizacja przynosi też pewne niedogodności. Dyskusje przy sklepach: „Czy tym razem kupić arbuza, czy trzy litry lodów, czy tutaj, czy w następnej wsi, a może i tu, i tam?” albo postoje przed noclegiem, kiedy musimy napełnić kilkanaście butelek wodą ze studni, znacznie ograniczają tempo jazdy. Jednak dla nas właśnie radość tych chwil jest ważna, więc tak ustalamy trasę, aby była wykonalna przy naszym stylu jazdy, choćbyśmy mieli przejeżdżać tylko 60 km dziennie. Jeśli jemy i kupujemy razem, to razem też jedziemy. Nie dzielimy się, nikogo nie zostawiamy z tyłu. Na RuBuTu jedyny moment, kiedy się rozdzieliliśmy, nastąpił, kiedy pewnego wieczoru zorientowaliśmy się, że zostawiliśmy na poprzednim noclegu dwa zapięcia rowerowe, całkiem cenne, a na pewno jeszcze na wyprawie przydatne. Wysłaliśmy po nie dwuosobową ekipę ratunkową. Kiedy po wielu perypetiach, jeździe skrótami przez pastwiska itp. udało im się odnaleźć zapięcia i powrócić do

reszty grupy, ta czekała w Fogaraszu ze stertą przepysznych naleśników przygotowywanych przez Natalię i Anię. Do powrotu ekipy nikt nie ważył się ruszyć naleśników.

Gdy nadchodziła pora noclegu, tzn. zaczynało się ściemniać, rozpoczął się codzienny „obrzęd” poszukiwania właściwego miejsca na rozbicie naszego ogromnego, niebiesko-pomarańczowego, sześciuosobowego namiotu. Pogodzenie właściwego miejsca do noclegu z chęcią biwakowania było nie lada wyzwaniem przy tak licznej grupie. A znalezienie fragmentu ziemi, który umożliwiłby schowanie się w środku pustkowi lub na szczycie gór, graniczyło z cudem. Początkowo dużą wagę przywiązywaliśmy do rozbicia się z dala od ludzkiego wzroku, ale z czasem, gdy nasz namiot imprezowy był zbyt głośny i niemożliwy do ukrycia, przestawaliśmy się tym przejmować. Byliśmy skazani na wieczny „show” nie do ukrycia. Nieświadomie rozbijaliśmy się na szlaku, gdzie cygańskie wozy udawały się w kierunku wysypiska śmieci, będącego zaraz za wzniesieniem, albo w najbardziej niebezpiecznych miejscach, np. na szczycie góry podczas wielkiej burzy.

A z małymi dziećmi też można?

Remigiusz Kitliński

www.rowerowarodzinka.pl

Narodzenie się córki mocno przemeblowało nasz poukładany rowerowo świat, ale ani przez chwilę nie przeszło mi przez myśl, że będziemy musieli zrezygnować z wypraw. Na pierwszy, próbny, czterodniowy wyjazd wybraliśmy się, gdy Natalia miała dziesięć miesięcy. Już wtedy bardzo istotnym elementem naszego ekwipunku był nocnik. Mieliśmy ze sobą również spory zapas pieluch, ale regularne wysadzanie dziecka na nocnik znakomicie pomagało w utrzymywaniu higieny. Do mycia wystarczała niewielka, plastikowa miska. Kolejnym obowiązkowym elementem wyposażenia był duży koc, na którym mniej więcej co godzinę urządzaliśmy piknik. W tym kontekście warto zwrócić uwagę na warunki pogodowe. W ciepłe, słoneczne dni wyjazdy z małymi dziećmi są dużo łatwiejsze i przyjemniejsze dla wszystkich.

Na wyprawach rowerowych prawie zawsze nocujemy w namiocie na dziko. Narodziny Natalki niczego w tym zakresie nie zmieniły. Dziecko



Wspólny wyjazd z dziećmi. © Jurek Szczęsny

korzysta z tych samych przywilejów co dorośli, ale podlega również tym samym ograniczeniom. No może z małymi wyjątkami. Kiedy byliśmy na pierwszej długiej wyprawie z niespełna roczną córką w stosunkowo chłodnej Estonii, kilka razy podgrzewaliśmy jej wodę do kąpieli, korzystając z kuchenki gazowej. Za to aż do piątego roku życia córka nie miała własnego śpiwora. Radziliśmy sobie poprzez łączenie dwóch dużych. Kolejnym wyjątkiem jest możliwość zabrania jednego pluszaka. Poza tym, tak jak i dorosłym, na wyprawę wolno jej zabrać nie więcej niż po trzy rodzaje ubrań i maksymalnie dwie pary obuwia. Co ciekawe, dołączenie córki do naszej ekipy nie spowodowało jeszcze konieczności podwieszenia na bagażnikach dodatkowej pary sakw. Potrzebne miejsce wygospodarowaliśmy w naszych sakwach oraz w przyczepce córki, która oprócz zwykłej przestrzeni bagażowej umożliwia mocowanie ekwipunku o nieco większych gabarytach.

Zakup przyczepki rowerowej był zdecydowanie największym wyzwaniem finansowym, któremu musieliśmy sprostać po powiększeniu naszej rodzinnej ekipy rowerowej. Często, między innymi z uwagi na wysokie koszty dobrych przyczepek, rodzice zastanawiają się nad alternatywą w postaci fotelika rowerowego. Naszym zdaniem jego funkcjonalność jest znacznie niższa, a wygoda i bezpieczeństwo, które zapewnia przyczepka, ma szczególne znaczenie w najmłodszych latach podróżniczego rozwoju dziecka. Przyczepka zapewnia również znacznie lepszą ochronę przed chłodem i deszczem, a na dłuższych trasach dziecko może wygodnie

ułożyć się do snu. W trudnym terenie amortyzacja niweluje wstrząsy, a ruchomy przegub mocujący zapewnia przyczepie stabilność nawet w przypadku wywrotki roweru.

Prawdziwym krokiem milowym w naszym rodzinnym podróżowaniu z córką było jednak poznanie drugiej, podobnej nam rowerowej rodziny. Wspólny wyjazd na wyprawę dwóch rówieśniczek zdjęt z rodziców bardzo absorbujący obowiązek ciągłego zajmowania się własnym dzieckiem. Bardzo wiele czasu dziewczynki spędzały we własnym gronie, same organizując sobie zabawy.

Chyba największą obawą, która przez pewien czas wisiała nad moją głową, było pytanie, czy z coraz cięższą córką w klockowatej przyczepie dam radę jeździć po górach, co po prostu uwielbiam. Obawy udało się pomyślnie rozwiązać. Nawet tak ciężki zaprzęg można wciągać na wysokie przełęcze po kiepskich, szutrowych drogach. Trzeba się jedynie pogodzić z bardzo niskimi przebiegami dziennymi i równie niskimi prędkościami. Na ostatniej wyprawie przez cztery kolejne dni nie udało się nam wykręcić średniej prędkości powyżej 10 km/h. Wszyscy byli jednak wyjątkowo szczęśliwi, a wyjazd był bardzo udany!

A ze starszym dzieckiem?

Marek Miłoszewski

www.rower.memorek.pl

Pierwsze przeszkody pojawią się jeszcze przed wyjazdem. To opór kochających cioć i wujków, którzy na wszelkie sposoby będą Was przekonywać, że jazda na rowerze, po kilka godzin dziennie, to straszna krzywda dla dziecka. A spanie pod namiotem to wręcz znęcanie się nad nim. Wreszcie i w Was pojawią się wątpliwości. Czy dziecko sobie poradzi? A co jeśli zaskoczy nas zła pogoda? Gdzie spać? Jakie drogi wybrać? Warto jednak spróbować. Nic tak nie integruje rodziny jak wspólna droga.

Czy dziecko sobie poradzi?

Oczywiście. Wystarczy tylko jechać wolniej. I to w zasadzie najważniejsza rzecz. Trzeba po prostu zredukować nasze, rodziców, oczekiwania. Warto umówić się, że zawsze dziecko jedzie na przedzie. Chodzi z jednej strony o to, żeby mieć je na oku, a z drugiej — żeby jechać tempem dziecka. Niech

jedzie tak szybko, jak jest mu wygodnie. Nie popędzajcie, nie naciskajcie na kolejne kilometry. Jeśli uda się „wplnąć na ambicję”, to oczywiście maluch przejedzie jeszcze kilka kilometrów, ale lepiej skończyć wyprawę z lekkim niedosytem, niż przesadzić i zniechęcić do kolejnych wyjazdów.

Co zrobić z bagażem?

Najlepiej, jeśli wszystko wiozą rodzice. Sama jazda jest dla dziecka wystarczającym wysiłkiem, nie ma potrzeby dokładać mu ciężarów. Jeśli obawiasz się, że nie uda się Wam zmieścić w sakwy rodziców, to warto zainteresować się przyczepkami bagażowymi do rowerów, których jest sporo na rynku. Jeśli wcześniej woziliście dziecko w przyczepce, to może teraz, kiedy przesiadło się na własny rower, przerobić ją na towarową? Dobrze jednak, żeby dziecko wiozło coś własnego. Lekkiego, ale ważnego. Młodsze dziecko będzie szczęśliwe, wioząc swoje wiaderko i łopatkę do piaskownicy. Starszemu możecie zapakować np. karimaty. Są lekkie, a swoim rozmiarem dadzą dziecku poczucie wożenia ważnego bagażu. Dziecko może też wieźć w torebce podsiodłowej drobne prezenty dla ludzi, którzy w drodze Was przyjmą albo Wam pomogą.

Gdzie spać?

Oczywiście najlepszy i najtańszy nocleg to spanie pod namiotem. Niekoniecznie na polu namiotowym. Przecież prysznic i pranie potrzebne są co drugi, trzeci dzień. A do codziennej toalety wystarcza jezioro albo po prostu butelka wody. Dziki kemping to dla dzieci wielka atrakcja. Czasem jednak zdarza się, że dalej nie da się po prostu jechać. Jeśli dziecko obe-
trze sobie piąty punkt podparcia (rowerzysta opiera się piątym punktem podparcia na siodełku) albo najzwyczajniej nie ma siły jechać dalej, a pod ręką dostępny jest tylko hotel, to nie ma co naciskać na dalszą jazdę. Taki hotel od czasu do czasu też ma swoje zalety. Ciepły prysznic, pranie ciuchów w hotelowej pralni i rano obfite śniadanie.

Jak motywować?

Ale co zrobić, żeby dziecko po kilku dniach jazdy chciało jechać dalej? Dla dorosłego jazda na rowerze może być przyjemnością samą w sobie, ale maluch? Nie warto manipulować czy wjeżdżać na ambicję. Prędkiej czy później to się obróci przeciw rodzicowi. Wybierzcie jakiś cel. Powiedzcie dziecku, że wieczorem będzie kąpiel w jeziorze albo kręcone lody, albo ognisko. Jeśli dziecko lubi zwiedzać, można jako cel pokazywać jakieś atrakcyjne miejsce na trasie. Zawsze jedźcie „dokądś”.

Akcja folia

A co jeśli popsuje się pogoda? W dużym deszczu nie warto jeździć. Wiadomo — przemoczone dziecko to nie tylko możliwość przeziębienia, ale też zniechęcenie. Jednak drobny deszcz, jeśli mamy dobre ciuchy, nie powinien nas zatrzymywać. A na nagłą ulewę można stosować „akcję folia”. Kiedy pada już tak, że nie da się jechać, postawcie rowery, nakryjcie je folią malarską i siadźcie pod nią, czekając, aż przestanie padać. Deszcz z problemu stanie się atrakcją.



Akcja folia – i deszcz jest niestraszny

Którędy jechać?

Trasę trzeba dobrze przygotować. Szczególnie wtedy, kiedy dopiero zaczynamy dłuższe wyjazdy z dzieckiem. Dorosły, jadąc sam, bez problemu dołoży na koniec dnia kilkanaście kilometrów, żeby dojechać w lepsze miejsce na nocleg. Dziecko może nie dać rady, dlatego dobrze wcześniej zaplanować noclegi, by o zmroku uniknąć nerwów. Jeśli chodzi o wybór nawierzchni, to tu trzeba posłuchać dziecka. Jedno będzie wolało śmigać po asfalcie, drugie wybierze spokojną jazdę łąkami. Wiadomo, że na drogach im lepsza nawierzchnia, tym więcej samochodów. A tych, szczególnie z młodszymi dziećmi, lepiej unikać. Zatem jeśli asfalt, to tylko drogi boczne.

Sprzęt

Rower, który wytrzyma zabawy na podwórku, niekoniecznie sprostą wymaganiom dłuższego wyjazdu. Nie musi to być supernowoczesny karbonowy „ścigant”. Może to być prosta maszyna. Ale musi być sprawna. Rowery dziecięce są często w fatalnym stanie. Na co dzień używane do jazdy przed domem, gdzie są poddawane katuszom zabawy z kolegami, którzy „chcieli się przejechać”. Przed wyjazdem warto sprawdzić

wszystko to, co powoduje opory w czasie jazdy. Stare piasty, klocki hamulcowe trące o koła, nienasmarowany łańcuch. To wszystko będzie dokładać dziecku wysiłku.

A co w nagrodę?

Podróże kształcą. Dosłownie. Mateusz już przyzwyczał się, że kiedy omawiają jakieś „historyczne” miejsce w Polsce, a on zgłasza się, cała klasa woła chórem: „Tak, wiemy, już tam byłeś”.

W Puszczy Augustowskiej widzieliśmy wiele pamiątek walk i mordów z czasów II wojny światowej. Przez kilkanaście kilometrów rozmawialiśmy o trudnej historii Polaków, Niemców i Rosjan. Na koniec dnia Mateusz tak podsumował: „Tata, jeśli udało nam się pogodzić z Niemcami, to z Rosjanami też się zaprzyjaźnimy, prawda?”. Czy można wyobrazić sobie lepszą lekcję historii?

Ale dziecko zdobywa nie tylko wiedzę. Uczy się samodzielności. Wierzy w swoje siły.

Jest też całkiem wymierna strona podróżowania z dzieckiem. Wiele razy zdarzyło nam się, że właściciel pola namiotowego, gospodarstwa agroturystycznego czy nawet hotelu na widok małego rowerzysty zrezygnował z opłaty i fundował nam darmowy nocleg. Widok dziecka na rowerze otwiera domy i serca. To zresztą kolejna nauka z podróży. Dziecko, na co dzień uczone, żeby „nie rozmawiać z obcymi”, odkrywa, że ludzie są... dobrzy.

Wreszcie: w podróży jesteśmy sami ze sobą. Mimo że spotykamy po drodze wiele osób, to tak naprawdę jesteśmy na siebie skazani i możemy nadrobić zaległości ojcowsko-synowskie, które powstają w pełnym zajęć roku szkolnym.



Mniejszym przyda się trochę pomocy. © Jola Lenkiewicz

Dla seniorów obu płci

Marek „Transatlantyk” Piluch

Przypadł mi w udziale zaszczyt napisania kilku słów do *Podręcznika Przygody Rowerowej*.

Mają być to słowa skierowane do seniorów. Sam już się do takich zaliczam, ale staram się w to nie wierzyć, czuję się młodo i dobrze mi jest w towarzystwie młodych ludzi. Może w takim towarzystwie młodość trochę się udziela?

Ludzie mają różne wyobrażenia o tym, jak wygląda życie osób w wieku „trochę poważniejszym”. Wbrew pozorom seniorzy to ludzie bardzo aktywni. Widuję ich na wszelkiego rodzaju wycieczkach, na górskich szlakach pieszych, w kajaku, na rowerze. Uprawiają sporty amatorsko, niekiedy na zaskakująco wysokim poziomie. Obecnie spotykam takich ludzi na szlakach rowerowych z sakwami albo na leciutkich rowerach szosowych — według upodobania. Dla osób niemających ambicji, by być wielkimi podróżnikami, rower jest tanim sposobem na aktywność fizyczną, zwiedzanie bliższej okolicy, przyjemne spędzanie czasu.

Sam kilkanaście lat temu, zanim cycloza pochłonęła mnie całkowicie, zajmowałem się trochę bieganiem i w wielu biegach ulicznych zbierałem cięgi od sześćdziesięciolatków, starszych wtedy ode mnie o jakieś dwa-dzieścia lat. Zapytacie: a czym jest ta „cycloza”? W słowniku rowerzystów to chorowanie na rower. Zaczyna się wtedy, gdy rower nie jest zwykłym hobby ani „formą spędzania weekendów”, ale staje się nałogiem. „Choroba” jest łatwa do zdiagnozowania, ale bardzo trudna do wyleczenia. Najlepiej zajrzyjcie na: www.mslonik.pl/rowery/filozofia/140-cycloza.html i poczytajcie, jakie mogą być jej skutki. Ja sam doświadczam ich notorycznie.

Wiek dojrzały ma trochę zalet. Dzieci odchowane, nie absorbują już tak bardzo jak kiedyś. Jest po prostu trochę czasu do zagospodarowania. Mamy też niekiedy poczucie uciekających lat. Nie na wszystko już wystarczy czasu, więc spędźmy go z korzyścią dla siebie. Są tacy, którzy zaczęli od krótkich wycieczek, a dzisiaj rower jest ich sposobem na życie. Jest wiele książek o podróżach rowerowych, wiele relacji na ten temat znajdziemy w internecie, nasi rówieśnicy jeżdżą nawet dookoła świata. Każdy wiek jest dobry, żeby zacząć coś ze sobą robić, coś, co uatrakcyjni nasze życie. Możemy zacząć w każdej chwili. To nic, że wcześniej nigdy nie próbowaliśmy wycieczek rowerowych. Każda chwila jest dobra, by to zmienić, a „teraz” jest najlepsze. Wiadomo — olimpiady w kolarstwie

już nie wygramy. Zrobią to za nas młodzi — dajmy im tę szansę. A my, z właściwym dla naszego wieku rozsądkiem i dystansem, ale i z pasją, róbmy to, co nas cieszy.

Wielu ludzi aktywnych dzisiaj musiało dostać kopniaka od losu i lekarz zalecił więcej ruchu — bo zawał, bo otyłość. Nie czekajmy na taką receptę. Zadbajmy o siebie wcześniej. Jako zarażony cyklozą zalecam rower.

Panie pilocie – rower w samolocie

Czasem zdarza się tak, że trzeba zapakować rower do samolotu. Zaplanowaliśmy sobie rowerowy urlop w Turcji albo na Korsyce i trzeba się tam dostać szybko i łatwo.

I tu zaczynają się „schody”. Niektóre linie lotnicze nie są za bardzo przyjazne rowerzystom i traktują rower jako zwykły bagaż. Łatwo wtedy policzyć, że z limitu kilogramów niewiele nam zostanie na ubrania i wszystko inne, więc albo decydujemy się płacić za nadbagaż (nawet 8 euro za kg), albo dziękujemy takim liniom za współpracę i szukamy dalej.

Niektóre lotniska, jak na przykład w Auckland i w Christchurch w Nowej Zelandii czy Portland w USA mają nawet *bicycle assembly area*, czyli specjalne strefy, w których można skrócić swój rower po wyjęciu go z pudła! W takiej strefie: wieszają się rower na specjalnym uchwycie wystającym ze ściany i można bez problemu znów przymocować kierownicę, koła i pedały.



Auckland. © Kuba Postrzygacz

Większość „tanich linii lotniczych” ma w swojej ofercie możliwość zabrania ze sobą sprzętu turystycznego (roweru, deski surfingowej) za specjalną dopłatą. W 2010 roku wynosiło to 25 – 40 euro. Niektóre duże linie transportowały rowery za darmo (Korean Air, British Airways) w ramach różnych akcji promocyjnych.

Chęć zabrania roweru należy zgłosić wcześniej. Najbezpieczniej zrobić to w trakcie zakupu biletu. Dowiedzieć się dokładnie, ile może ważyć i jakich może/musi być rozmiarów. Od jakiegoś czasu niektóre linie (np. Air France) pilnują rozmiaru kartonu. Tłumaczą to wielkością luku bagażowego.

Rower należy zapakować w specjalną torbę lub karton. O ile torba wygląda lepiej (?), o tyle ma trzy zasadnicze wady. Po pierwsze, trzeba ją kupić, po drugie, nie zmieści się do niej nic poza rowerem i po trzecie, trzeba ją mieć gdzie zostawić na czas naszej podróży lub wozic ze sobą przez najbliższe tygodnie.

Karton natomiast jest albo za darmo, albo za niewielką opłatą, można do niego zapakować kilka drobiazgów (na przykład ciężki namiot), no i można go po przylocie śmiało wyrzucić.

Linie lotnicze mają na rowery pewne limity wagi (około 30 kg w zależności od linii) i warto to wykorzystać, uszczuplając kilogramy w naszym głównym bagażu. Nam notorycznie zdarzało się upychać do kartonu namiot, narzędzia rowerowe, a czasem nawet śpiwory.

Warto znaleźć karton dużo większy od naszego roweru. Można nawet rozciąć dwa kartony i zrobić z nich jeden, a wszystko po to, by jak najmniej rozkręcać rower. W normalnych warunkach trzeba zdjąć kierownicę, pedały, siodełko ze sztycą i co najmniej przednie koło i przedni bagażnik. Sklejając dwa kartony w jeden, możemy taki pakunek dokładnie dopasować do długości roweru z założonymi kołami. Po przylocie o wiele szybciej skęcimy rower i nareszcie ruszymy w naszą wymarzoną podróż.

Niektóre linie lotnicze przyjmują rowery bez kartonów i toreb. Można taki rower oddać w całości lub owinięty szczelnie folią i... modlić się, żeby nic mu się nie stało, gdy panowie bagażowi będą go wrzucać na wózek, z wózka na taśmociąg i z taśmociągu do luku bagażowego i... z powrotem.

Linie lotnicze wymagają, by mieć ze sobą tylko jedną sztukę bagażu rejestrowanego. Najprościej kupić dużą „ruską” torbę w kratę i zapakować do niej sakwy.

Marek Mulewski

Pierwszy raz leciałem z rowerem. Nie miałem więc doświadczenia. Krzysz Jasiński zakupił w hurtowni tzw. streczfolię i folię bąbelkową. Opakowaliśmy rower, jak widać. Zaleta takiego opakowania jest taka, że widać, co jest w środku. Poza tym zostają same wady. Dlaczego?



Pakunek zatargałem do panów WOP-istów. Tamże poproszono pieski. Pan zrobił palcem (!) dziury w folii, pieski obwąchały i OK — rzucili pakunek na transporter taśmowy. Skutek: złamany hak przerzutki, co uwidoczniło się już po kilkudziesięciu kilometrach w Tbilisi.

Z powrotem nie byłem już taki głupi — zapakowałem rower w porządną plandekę ogrodniczą, utykając gdzie trzeba kawałki kartonowych pudeł.

Zalety: taka plandeka jest uniwersalna. Rozkładałam ją pod namiot, gdy jest błoto, ostre kamienie, osty itp. Przykrywam nią rower, a nawet mój namiot, gdy leje. Plandeka jest mocna — nadaje się do wielokrotnego użycia, jest też nieprzemakalna i tania.

Pociąg

Gdy nasz pociąg to stary EZT (elektryczny, bez przedziałów „tramwaj”), nie będzie problemu z przewiezieniem roweru. Na końcu każdego wagonu znajduje się „Przedział dla osób z większym bagażem”. Rower można przewozić w każdym z tych pociągów.

Gdy pociąg składa się z wagonów z przedziałami, nie ma natomiast specjalnego wagonu do przewożenia rowerów, musimy sobie radzić inaczej. Jeszcze do niedawna można było wozić rowery na końcu składu pociągu, przypinając je do ostatnich drzwi.



EZT i jego „Przedział dla osób z większym bagażem”. © Arek Łojek

Warto zapytać kierownika pociągu, czy gdzieś na trasie nie będą przyczepiane kolejne wagony, by nie stało się tak, że po jakimś czasie nasz rower stoi w środku składu pociągu.

W pociągach, w których nie wolno przewozić roweru (np. nocnych lub międzynarodowych), dobrym pomysłem jest złożenie roweru. Na dobrą sprawę wystarczy zdjąć koła i owinąć całość w plandekę. W ostateczności może to być nawet tropik namiotu. Ważne jest, by rower niczego nie pobrudził ani o nic (o nikogo) nie zahaczył jakimś wystającym elementem. Tak spakowany rower możemy zgodnie z regulaminem PKP przewozić jako bagaż. Na półce czy pod siedzeniem. W ostateczności nawet na korytarzu.



Chiny. Obrzeża pustyni Taklamakan.
Cztery rowery po wyjęciu z autobusowego bagażnika. To nie tylko cztery ramy i osiem kół, ale i... szesnaście sakw, cztery torby na kierownice i cztery worki!

A ile to kosztuje?

Rowerowanie okazuje się całkiem tanią formą turystyki. Po pierwsze, odpadają koszty transportu, a po drugie — noclegów. Nie ma nic piękniejszego od rowerowej wędrownki bocznymi drogami zakończonej noclegiem w namiocie na „najpiękniejszej łące świata”.

Jedynym wydatkiem pozostaje jedzenie, ale to chyba nic nowego — w końcu siedząc przed telewizorem, też trzeba coś jeść, więc to żaden DODATKOWY wydatek.

Największym wydatkiem zawsze jest wizyta w mieście. Trzeba iść spać do hotelu, trzeba zjeść w knajpcie, no i miasto jest pełne pokus. Księgarń, sklepów z pamiątkami itp.

W naszych podróżach staramy się utrzymać za 50 zł dziennie. Na nas dwoje. Jeżeli są to Indie czy Azja Południowo-Wschodnia, to są to dość „wygodne” pieniądze. Wystarczy na hotelik i jedzenie. Jeżeli jest to Europa, to gotujemy sami i śpimy w namiocie lub „po ludziach”. W Chinach czy Turcji „oszczędzamy” na hotel, śpiąc trzy- cztery noce w namiocie, by potem wyszorować się w gorącej wodzie, zrobić pranie i zwyczajnie wypocząć w czystej, hotelowej pościeli.

Nie oszczędzając na niczym, ale trzymając swoje żądze na wodzy, w czasie podróży do Indii czy po Jedwabnym Szlaku udawało nam się wydawać 2000 zł miesięcznie.

Ktoś nam kiedyś powiedział, że to taniej, niż mieszkać w Polsce.

A jak to zrobić tanio:

- Kup tani rower, a resztę przeznacz na podróż.
- Naucz się gotować.
- Improvizuj.
- Śpij w namiocie lub korzystaj z *WarmShowers.org* (noclegi u innych rowerzystów) lub couchsurfingu (noclegi u ludzi, którzy chętnie udostępnią łóżko lub kawałek podłogi).



Z takimi kibicami
wszystko musi się
udać

Dusigrosze na wakacjach, czyli rzecz o budżetowym podróżowaniu

Antek Mysliborski

www.mysliborski.com

W przekonaniu wielu osób podróże, zwłaszcza egzotyczne, są niesamowicie drogie i trzeba być niezmiernie bogatym człowiekiem, by sobie na nie pozwolić. Gdy w pracy oznajmiłem, że zamierzam wyjechać na tak długi czas do Afryki, dostrzegłem pewną podejrzliwość w oczach moich współpracowników — zapewne przez ich głowy przebiegła myśl: „Ile on, do cholery, zarabia? Muszę iść do szefa po podwyżkę”.

Łatwo to zrozumieć, gdy przeglądniesz katalogi biur podróży — nawet kilkudniowa wycieczka po egzotycznym kraju kosztuje niesamowitą forszę. Tymczasem gdy pojedzie się na własną rękę, jeździ się lokalnym transportem, śpi się w małych hotelikach przeznaczonych głównie dla miejscowych i je się w przydrożnych jadłodajniach, można taki wyjazd zorganizować za relatywnie niewielkie pieniądze, ułamek kwoty, jaką by kosztował zorganizowany wyjazd.

Tak zawsze jeździłem, jeszcze za czasów studenckich, tak odbywa się moja obecna wyprawa. Nieraz warunki są ciężkie, hotele często są mało komfortowe, o transporcie już nieraz pisałem. Ale te wszystkie mankamenty stają się nieistotne w zderzeniu z faktem, że tu jestem, że widzę to wszystko, co widzę, przeżywam te wszystkie przygody.

Wiele osób jeździ w ten sposób — wszyscy ci, którzy nie czekając, aż się dorobią na stare lata, ze stosunkowo niedużą kasą w kieszeni, nie zważając na niewygody, ruszają w drogę. I to jest superpozytywne zjawisko.

Ale droga nie jest wolna od pułapek. Szalenie łatwo przegiąć, stracić z oczu właściwy cel tej zabawy, jakim jest możliwość dotarcia do danego miejsca, przeżycia przygody, poznania ciekawych ludzi, fajnego spędzenia czasu — przy ograniczonych środkach, a skupić się na celu zupełnie nieistotnym i w gruncie rzeczy nieracjonalnym — wydaniu jak najmniejszej ilości pieniędzy. Za wszelką cenę.

Nieracjonalnym, bo przecież najłatwiej jest go osiągnąć, w ogóle nie wyjeżdżając. A tu ten nasz podróżnik wyjeżdża i zaczyna się tak zachowywać, jakby chciał zminimalizować skutki swojej pochopnej decyzji. Dotyka go swoista choroba, nazwijmy ją roboczo „syndromem chorobliwej oszczędności” lub w skrócie SChO. Dla ułatwienia dalszych rozważań podróżnika nią dotkniętego będę nazywał „chorobliwie oszczędnym podróżnikiem” — lub ChOP.

Opiszę więc, ku przestrodze, pokrótce różne symptomy tej straszliwej choroby.

Pierwszym stadium SChO jest wybieranie zawsze najtańszej opcji — niezależnie od tego, jak podły jest hotel, ile w pokoju gnieździ się pluskiew, karaluchów, szcurków i innego paskudztwa, jak bardzo niedobrze się robi po wejściu do ubikacji, ChOP zawsze wybierze najtańszy hotel w mieście. Nawet jeśli drzwi w drzwi sąsiaduje z nim przytulny i czystutki pensjonacik, jeśli jest droższy choć o dolara — odpada z marszu. Czynnikiem pozwalającym ocenić, czy mamy już do czynienia ze SChO, czy ze zwykłą praktyką budżetowego podróżowania, jest niezwracanie uwagi na bezwzględną cenę — jeśli przy wyborze liczy się tylko fakt, że dany hotel jest najtańszy, a nie to, czy jego cena mieści się w jakimś założonym budżecie, to jest to sygnał alarmowy.

Podobna sytuacja dotyczy jedzenia — jeśli ktoś je na ulicznym stoisku, bo mu tam jedzenie smakuje, to wszystko w porządku. Ale jeśli ktoś przez cały wyjazd żywi się falafelami, których nie znosi (ewentualnie: których ma dość), a nie pójdzie do nieco droższej, ale wciąż taniej knajpki na doskonały obiad, to już ma powód do namysłu.

Warunkiem koniecznym, by uznać dane zachowanie za skutek SChO, jest to, że wybrana opcja wcale ChOP-owi nie sprawia przyjemności, a lepsza — ale droższa — istnieje i mieści się w zasięgu jego możliwości finansowych. Drugim stadium SChO jest negacja. W celu zaoszczędzenia pieniędzy ChOP rezygnuje z różnych rzeczy. Przyjedzie do Agry, ale Tadz Mahal obejrzy przez płot. Nie pójdzie na piwo wieczorem, mimo iż jest szalenie gorąco i przydałoby się przepłukać gardło. Nie przejedzie się na słoniu, bo za drogo. Znow charakterystyczny jest fakt, że na to wszystko obiektywnie ChOP ma pieniądze i ochotę, zwycięża po prostu chęć zaoszczędzenia.

Trzecim, już poważnym stadium, jest agresja i egzaltacja. Oszczędzanie zaprzęta głowę ChOP-a w tym stopniu, że trudno jest mu myśleć o czymkolwiek innym. Robi się agresywny: każdy tubylec w jego oczach staje się potencjalnym naciągaczem i oszustem; zawarcie każdej transakcji — wynajęcie pokoju w hotelu czy taksówki — walką o uzyskanie korzystnej ceny, grą o sumie zerowej, w której musi być wygrany i przegrany; każdy żebrak — niezależnie w jak nędznej sytuacji — zamachowcem na jego pieniądze. ChOP w tej fazie z pogardą patrzy na innych turystów, frajerów, którzy zapłacili za coś więcej niż on. W każdych negocjacjach minimum, o które walczy, jest ceną dla miejscowych, ale satysfakcję przynosi dopiero cena niższa. W tej fazie choroby ChOP nie powstrzyma się od stosowania brudnych sztuczek — wślizgnie się do muzeum bez biletu, posłuży się sfalszowaną legitymacją studencką w pociągu, rzuci taksówkarzowi mniejszą kwotę niż umówiona i oddali się szybkim krokiem czy — w skrajnym przypadku — umknie cichcem z hotelu bez zapłacenia. Oczywiście zawsze znajdzie sobie wytłumaczenie — rząd jest drański, bilet za drogi, taksiarz żądał za dużo, hotel nie był wart swojej ceny.

Jeśli ChOP pisze relację ze swojego wyjazdu w internecie, łatwo rozpoznać trawiącą go chorobę. Większość bloga zajmuje bowiem opis toczonych przez ChOP-a bojów — udanych i nieudanych negocjacji, prób oszustwa z jednej i z drugiej strony, wypisy wszystkich możliwych cen. Jeśli za coś ChOP zmuszony był zapłacić (przynajmniej w jego mniemaniu) niesprawiedliwą cenę, nawet jeśli chodziło o przepłacenie 20 groszy za herbatę, lament z tego tytułu zajmie przynajmniej pół strony.

SChO to straszna choroba. W zaawansowanym stadium może całkowicie zabić przyjemność podróżowania, uniemożliwia spojrzenie na otaczającą rzeczywistość przez jakikolwiek inny pryzmat niż wydawanych pieniędzy.

Strzeżcie się więc, bracia i siostry, nie dajcie się jej złapać! Bo szalenie łatwo wpaść w jej sidła. I jest okrutnie zaraźliwa!

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

O autorach:

W 2006 roku wyruszyli w długą drogę do Indii na złożonych samodzielnie (i całkiem dobrze) rowerach. Podróż zajęła im piętnaście miesięcy. Zmieniła ich życie tak bardzo, że po powrocie nie umieli usiedzieć w domu i znów ruszyli w drogę. Nie była to byle jaka droga, a legendarny Jedwabny Szlak. Przez lata przejechali razem ponad dwadzieścia dwa tysiące kilometrów i odwiedzili ponad dwadzieścia krajów. Od 2011 roku mieszkają w Krainie Wygasłych Wulkanów w Górach Kaczawskich. Na co dzień prowadzą warsztaty o świecie dla uczniów szkół podstawowych i gimnazjów. W wolnych chwilach snują plany podróżnicze, piszą książki oraz artykuły do prasy rowerowej.

Więcej o autorach na www.ku-sloncu.org.

Autorzy wystrzegali się pisarskiego „egoizmu”, chęci pokazania tylko swoich osiągnięć i zaprosili do współpracy znanych podróżników rowerowych. W ten sposób powstała niezmiernie interesująca książka będąca połączeniem dokumentu z trzymającą w napięciu beletrystką. Jeszcze raz okazało się, że chęć poznania świata i silna wola czynią cuda.



Henryk Sytner (Program III Polskiego Radia)

Co nowego można odkryć w świecie, który już dawno został dokładnie zbadany? Kogo można spotkać na drogach, po których codziennie poruszają się tysiące ludzi? Czym mogą nas zaskoczyć te spotkania albo ci ludzie? I jak dobrze przygotować się do podróży, jeśli wybiera się rower jako środek transportu? Odpowiedzi na te i wiele innych pytań znajdziecie w *Podręczniku przygody rowerowej*.

Autorzy dzielą się w nim doświadczeniami zdobytymi podczas wypraw do wielu różnych zakątków świata. Radzą, jaki kierunek wybrać i w jaki sprzęt się zaopatrzyć, jak zaplanować podróż na rowerze i jak ciekawie ją przeżyć. Przestrzegają przed potencjalnymi niebezpieczeństwami i niedogodnościami, a także informują, jak skutecznie ich unikać.

Podręcznik jest pozbawiony nudnej teorii, autorzy skupiają się wyłącznie na praktycznych aspektach życia rowerzysty długodystansowego. Najważniejsze jest jednak to, że niezwykle skutecznie zachęcają do wypraw rowerowych. Na własnym przykładzie pokazują, że każda podróż jest w zasięgu ręki!

Patroni medialni:

rowertour

bikeBoard
magazyn rowerowy

peron4



Globtroter.pl



Magazyn Rowerowy
WWW.MAGAZYNROWEROWY.PL



Etno chwile.pl

Nr katalogowy: 8404



Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

Bezdroża

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
• <http://bezdroza.pl/bestsellery>

Hellon SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

Cena 39,90 zł

ISBN 978-83-246-3635-8



9 788324 636358